

Herling-Grudziński: emigracja heroiczna

Nie wozi się piasku na Saharę. Ani nie przedstawia pisarza czytelnikom, którzy towarzyszą mu od wielu lat. A takich, skoro mowa o Gustawie Herlingu-Grudzińskim, jest tu większość. Kiedy zgłaszałem moją kandydaturę do krótkiego zagajenia tego wieczoru poświęconego jego twórczości, chciałem więc tylko spłacić dług, jaki wszyscy zaciągnęliśmy wobec autora *Innego świata*, *Drugiego Przyjścia* i *Dziennika pisanego nocą*, by wymienić tytuły, które zdają mi się najważniejsze. Chciałem wypowiedzieć publicznie o jego pisarstwie kilka myśli, które – choć powinny były być już dawno wypowiedziane – wypowiedziane chyba nie zostały, a jeśli nawet zostały – to nie dość głośno. Ale historia potrafi w naszych czasach wyprzedzać wszelkie zamiary, a nawet, choć rzadko, robić radosne niespodzianki. Nim doszło do dzisiejszego wielokrotnie przekładanego spotkania, w „Tygodniku Powszechnym” (z 19 lipca bieżącego roku) ukazał się piękny esej Wojciecha Karpińskiego, który otwiera, miejmy nadzieję, perspektywę uprzystępnienia książek Herlinga czytelnikom w Kraju i uczynienia z jego prozy przedmiotu studiów wyznaczających jej miejsce w literaturze polskiej drugiej połowy naszego wieku.

Kluczem do tej prozy jest dla mnie *Książę niezłomny* z tomu *Drugie Przyjście*. Wybór to osobisty, jak każdy wybór tego rodzaju, ale chyba nie całkiem bezzasadny. Umieszczone – z wyjątkiem zakończenia – w 1947 roku na Capri opowiadanie ukazuje różne postawy zajmowane przez Włochów w czasach faszyzmu wobec faszyzmu. Na pierwszym planie – dwie postaci: książę Santoni, przez dwadzieścia lat dobrowolny więzień swego pałacu na Capri właśnie, nieprzejednany w sprzeciwie, ale dający mu wyraz tylko myślą i słowem wypowiedzianym prywatnie, oraz pisarz i polityk Battaglia, świeżo po powrocie z emigracji, którą spędził w Anglii,

zwalczając rządy Mussoliniego. Herling udziela swego pióra ich skłóconym racjom i przybliża je czytelnikom, co tym bardziej przejmującą czyni polityczną i życiową klęskę, która staje się udziałem obu emigrantów: wewnętrznego i zewnętrznego. Książę Santoni po bezowocnej próbie oddziaływania na odradzające się włoskie życie publiczne zamyka się ponownie w swej samotni, by wkrótce potem umrzeć. Przemówienie nad jego grobem wygłasza pojednany z nim ostatecznie Battaglia, również nieumiejący przystosować się do odnalezionego kraju, i o którym literaci włoscy mówią, że „nie rozumie życia dzisiejszych Włoch i po dwudziestu latach emigracji pisze językiem dziwnie sztucznym i drewnianym”. Kwitnie natomiast inna postać wspomniana kilkakrotnie w opowiadaniu: Ezio Malatesta, w czasach Duce pisarz dworski, acz z okresami głębokiej niełaski, po upadku faszyzmu wprasający się bez godności do obozu zwycięzców. Opuszczamy go bawiącego w gronie gwiazd filmowych z Cinecittà, podczas gdy w kawiarni po przeciwnej stronie ulicy siedzi przy swym stoliku samotny Battaglia.

Jest to więc z pozoru swoiście włoska historia, osadzona we włoskim pejzażu i z czysto włoskimi realiami. Jej bohaterowie są zresztą wzorowani na postaciach rzeczywistych: Malatesta – to, oczywiście, Malaparte; Battaglia – to po trosze znany historyk Gaetano Salvemini, po trosze zaś – pisarz i działacz socjalistyczny Ignazio Silone; książę Santoni – to Benedetto Croce. W całym opowiadaniu nie ma żadnej aluzji do Polski. A raczej jest tylko jedna, łatwa do przeoczenia: data umieszczona pod tekstem, 1956. Polska przypominała wtedy Włochy po upadku faszyzmu, a problemy Battaglii po powrocie z emigracji miały ostrość, jaką odzyskały ponownie w ciągu ostatniego roku. Herling pisał o Silonem-Salveminiem, a myślał zapewne o sobie, pokazując z samowiednym okrucieństwem klęskę emigrantów, którzy bronili dawnych zasad i wartości moralnych, podczas gdy ludzie przez sam fakt życia w nowym ustroju stawali się po prostu inni, niż byli poprzednio: zmieniali słownictwo, przyzwyczajenia, lojalności.

Odczytany z tej perspektywy, *Książę niezłomny* nie jest już historią swoiście włoską. Należy raczej do polskiej literatury rozrachunkowej z okresu Października 1956, z tą osobliwością wszelako, która stanowi o jego wyjątkowej pozycji, że rachunek jest tu wystawiany nie władzy, lecz społeczeństwu. Że pytanie dotyczy tego, za jaką cenę żyło się, robiło kariery, wydawało książki i spędzało przyjemnie czas w faszystowskich Włoszech – i w Polsce realnego socjalizmu w jego młodzieńczym i ludźcym wydaniu. I tego, co zostało na trwałe w postępowaniu i myśleniu z nawyków urobionych w tym okresie. Są to pytania wybitnie przykre i których nie zadał,

jak mi się zdaje, żaden pisarz polski poza Herlingiem; „literatura rozrachunkowa” była przesycona współzuciem autorów dla samych siebie i pełna okoliczności łagodzących. Ale w świecie Herlinga nie ma okoliczności łagodzących. A ucieleśniony w postaci Malatesty życiowy punkt widzenia, z właściwym mu premiowaniem umiejętności przystosowania się do warunków, jest konsekwentnie odrzucany przez całą jego twórczość w imię wierności zasadom i wartościom moralnym, której dochowanie jest jedynym zwycięstwem prawdziwie godnym tego miana. W tym sensie zwycięzcami moralnymi pozostają Santoni i Battaglia, jak pozostają nimi pokonani życiowo bohaterowie Conrada, dla których zwycięstwem jest samo spełnienie obowiązku.

Włochy i Polska. W prozie Herlinga obecne są dwa krajobrazy, które nakładają się na siebie i przechodzą jeden w drugi. „Ginie się albo przynajmniej nijakżeje bez miłości do miejsc zakreślonych wąskim rzekomo horyzontem” – pisze. Uczucie to odnajduje się zarówno w opisach Dragonei, wioski na południu Włoch, z którego uczynił część obszaru należącego odtąd do literatury polskiej, jak we wspomnieniach Kielecczyny, wracających niekiedy we śnie, niekiedy zaś przeświecających jak gdyby przez inne widoki. I odnajduje się je, przemieszane z odrazą, chwilami może nawet – nienawiścią, ale przytłumioną przez fascynację, w opisach Neapolu: ulic, mostów, cmentarzy, a zwłaszcza mieszkańców. Ale Włochy i Polska w pisarstwie Herlinga – to również dwie historie, z których, choć tak różne, wydobywa głębokie podobieństwa, jak właśnie w *Księżciu niezłomnym*. To przede wszystkim – faszyzm i socjalizm realny, dwie odmiany totalitaryzmu, który jest naczelnym tematem całej twórczości Herlinga.

Czytamy w *Dzienniku pisanym nocą*: „W przysłanym z kraju memoriale wciąż drażny mnie jeden fragment. Mowa o repatriacji Polaków z ZSRR w latach 1957–1958, na mocy umowy Gomułka–Chruszczow. Repatriacja ta, w przeciwieństwie do poprzedniej z lat 1945–1955, obejmowała także więźniów i zesłanych. Terenowe władze sowieckie sabotowały ją wyraźnie, toteż (piszą autorzy memoriału) «do Polski wróciło wtedy tylko parę procent Polaków, około 50 000 ludzi, licząc razem wolnych, więźniów i zesłanych; reszta została na zawsze, gdyż teraz tylko jednostki jakimś cudem mogą wrócić; przed pięciu laty wrócił z obozu... , aresztowany w roku 1939 jako dwudziestoletni młodzieniec: cień człowieka, kręgosłup ma zgięty w pół, usta zamknięte, milczące, jest schorowany, zdziwaczały, nie chce nikomu dać swego adresu; pozostały mu tylko piękne rysy twarzy»”.

Polski Sołżenicyn – komentuje Herling – gdybyśmy takiego mieli, napisałby powieść o tym, co „nie chce nikomu dać swego adresu”.

W tym *Dzienniku*, jakże powściągliwym, gdy chodzi o sprawy osobiste, chwila mi może aż nazbyt zdyscyplinowanym, na antypodach Gombrowicza, jest to dla mnie jeden z najbardziej wstrząsających zapisów. Rozumiem, że Herlinga drażniła i musiała drażnić wizja tego więźnia, który wychynął z jakiejś wyspy archipelagu Gułag: to przecież mógłby być on sam, gdyby nie wyrwał się z łagru, stawiając wszystko na jedną kartę i podejmując głodówkę. Taki mógłby być jego życiorys, gdyby nie zdołał opuścić na czas Innego Świata, by następnie wystawić jego ofiarom pomnik godzien stanąć obok najwybitniejszych arcydzieł prozy rosyjskiej podejmujących ten sam temat, w literaturze polskiej zaś niemający chyba żadnego odpowiednika. Po dziś dzień pamiętam moje pierwsze spotkanie z tą książką ćwierć wieku temu w pewnym warszawskim mieszkaniu.

Moralizm Herlinga, jego aproba dla postawy księcia niezłomnego, jego odmowa uznawania okoliczności łagodzących, słowem – jego bezwzględność, którą należy brać również w znaczeniu filozoficznym, jako przeświadczenie, iż są nakazy obowiązujące każdego, zawsze i wszędzie – wszystko to jest zakorzenione w doświadczeniu Innego Świata i w nieustannym pamiętaniu o jego istnieniu obok nas. To jego obecność określa naszą epokę i kształtuje jej znamienne rysy. To ona sprawia, że *Dziennik* Herlinga jest pisany nocą. Jak postępować w świecie totalitarnym? Jak żyć w jego nieustannym sąsiedztwie? Cała twórczość Herlinga jest odpowiedzią na te pytania. W tym sensie, a dotyczy to zwłaszcza *Innego świata*, jest ona wielką polemiką z Borowskim, którego pisma i losy stanowią jak gdyby negatyw pism i losów Herlinga: powrót do kraju zamiast wyboru emigracji heroicznej i postawienie się na usługi stalinizmu, zakończone samobójstwem. Można różnie czytać pisma Borowskiego; dla Herlinga są one, jak życie ich autora, przejawem moralnego nihilizmu. „Myślę – pisze – że 1 lipca 1951 roku otworzył kurek od gazu, zrozumiał jasno, że jest przepalony do cna nicością absolutną, niezdolny już do szukania ratunku w niczym; ani w «jadrze» ukrytym niegdyś głęboko w sobie samym, ani w wierze w Boga. Może tylko przemknęło mu przez głowę: okazuje się, że z dwojga złego znośniejsze jest «nic» ofiar niż «nic» prześladowców. Jego samobójstwo nie było męczeństwem, lecz wyzwoleniem. I dowodem, który byłoby mu najtrudniej uznać, że istnieją jednak jakieś «ludzkie wartości» i że nie takie to proste wyrzucić je na złom”.

Zapis ten pochodzi z 3 lutego 1976 roku i odsyła do noty napisanej na marginesie *Pożegnania z Marią* przed dwudziestu ośmiu laty. Nic nie ilustruje lepiej ciągłości myślowej i artystycznej pisarstwa Herlinga, tożsamości podejmowanej

przezeń problematyki moralnej, streszczonej w zdaniu z *Innego świata*, przywołanym w *Dzienniku* i przytoczonym również przez Karpińskiego. Oto ono w pełnym brzmieniu: „Przekonałem się wielokrotnie, że człowiek jest ludzki w ludzkich warunkach, i uważam za upiorny nonsens naszych czasów próby sądenia go według uczynków, jakich dopuścił się w warunkach nieludzkich – to jakby wodę można było mierzyć ogniem, a ziemię piekłem”. Nie jest to pochwała relatywizmu moralnego, lecz potępienie tych, którzy ujrawszy, do czego ludzie są zdolni w warunkach nieludzkich, wnoszą, iż wyczerpuje się w tym prawda o człowieku jako istocie zasadniczo niemoralnej, zespole czysto zwierzęcych odruchów. Herling przeciwstawia temu swe widzenie w człowieku wartości, kruchej zapewne, zagrożonej przez historię – i przez przyrodę: temat niezwykłego opowiadania *Gruzy* w „Kulturze” (1981, nr 7/8) – ale niemniej jednak realnej. I sprawiającej, że z dwojga złego lepiej być ofiarą niż prześladowcą.

Nie zdziwią się Państwo, jeśli stawiając kropkę nad „i”, powiem na zakończenie, że uważam Gustawa Herlinga-Grudzińskiego za jednego z najwybitniejszych pisarzy polskich drugiej połowy XX wieku.

wrzesień 1981

Manicheizm na użytek naszych czasów

Opowieści o rzeczach widzianych, myśli o zdarzeniach i wypadkach, uwagi o lekturach i rozmowach, reakcje na nowiny, wycieczki w wyobraźnię – ten ciąg datowanych napisów podaje się za dziennik. Ale jego autor prawie nie mówi o sobie. Czytelnik zaś nie zawsze wie, z czym ma do czynienia. Oto relacja z podróży do Pragi na obchody ku czci Kafki; dopiero dopisek powiadamia, że autor ją zmyślił. Jak zatem wierzyć w inne wydarzenia, które rzekomo przeżył? Skąd wiadomo, że nie są równie zmyślane, jak owa podróż, i że nie narzucają się jako prawdziwe tylko przez kontrast z jawnymi tworam fabulacji?

Cóż więc czytamy? Fikcyjny żywot przypisany przez Herlinga narratorowi? Powieść w masce dziennika? Byłoby to wtedy powieściowe wprowadzenie w nasz wiek, wiek nocy – cieni trwałych na pozór jak bryły i brył ukazywanych w fałszywych barwach i zniekształconych nie do poznania. I w którym uczyć się trzeba do dzień na nowo widzenia rzeczy, jakimi są, odróżniania dobra od zła, które udaje swe przeciwieństwo, prawdy od fałszu, który próbuje za nią uchodzić. A więc powieść? Czy dziennik? Nieważne, powie ktoś, byle rzecz była ciekawa. Zaiste, na tym zależy nam przede wszystkim. Odpowiedź nie jest jednak obojętna. W każdym przypadku inne są bowiem nasze oczekiwania i wymogi.

Dokumenty, których nie będziemy przytaczać, pozwalają rozstrzygnąć. Mamy istotnie do czynienia z dziennikiem, nie z powieścią. Ale z dziennikiem, w który niekiedy wkracza zmyślenie i którego autor nie utożsamia się po prostu z narratorem.

Przy scenach mogących wprowadzić w błąd wyjaśnia się, że są fikcyjne; kiedy indziej jest to oczywiste. Życiorys zaś przypisany narratorowi pokrywa się w zasadzie z życiorysem samego Herlinga, który w zarysie przypomnimy, a zarazem osadzimy w historii. Albowiem nie ma chyba polskich życiorysów rozpoczętych w pierwszej połowie wieku, których by historia nie przeobraziła i którym by nie nadała kierunku. Czy bez niej Gombrowicz zamieszkałby w Argentynie? Miłosz w Kalifornii? Jeleński w Paryżu? Czy gdyby nie historia, Herling po ośmiu latach spędzonych w Londynie i w Monachium osiadłby w Neapolu?

Gdy wybuchła wojna, Gustaw Herling-Grudziński, urodzony w 1919 roku, studiował na Uniwersytecie Warszawskim. Był to czas jego pierwszych publikacji i pierwszych kontaktów literackich. Po zwycięstwie niemieckim we wrześniu 1939 roku opuścił okupowany kraj, by wstąpić do armii polskiej we Francji. Zmusiło go to do przebycia strefy zajętej przez Związek Sowiecki w wyniku pogwałcenia traktatu o nieagresji z Polską na mocy tajnej klauzuli paktu Ribbentrop–Mołotow. Ujęty przez NKWD, został wysłany do obozu na dalekiej północy, w pobliżu Archangielska. Zwolnienie stamtąd – umożliwione przywróceniem stosunków dyplomatycznych między Polską a Związkiem Sowieckim – zawdzięcza w znacznej mierze swej determinacji, gdyż dygnitarze łagrowi, nie mając imiennego rozkazu, mogli zatrzymać lub ponownie skazać każdego, kogo nie uważali za stosowne wypuścić. Herling postawił wszystko na jedną kartę. Rozpoczął głodówkę. I wygrał.

„Byliśmy armią więźniów dowodzoną przez więźnia i odbudowaną za oporną zgodą nadzorców więziennych”. Tym zdaniem, które streszcza to, co najważniejsze, Herling opisał po wielu latach armię polską stworzoną w Związku Sowieckim przez generała Andersa. Dotarł do niej, przemierzywszy w łachmanach kraj pustoszonej wojną, strachem, zimnem, głodem, zdziczeniem. I uczestniczył w jej historii od wyjścia ze Związku Sowieckiego po demobilizację w Anglii. Za udział w bitwie pod Monte Cassino otrzymał najwyższe odznaczenie bojowe, krzyż *Virtuti Militari*. Ale zwycięstwo witał z poczuciem klęski: wywłaszczenia z ojczyzny. W Rzymie w 1945 roku pito na umór, bo nie było kraju, do którego by można było wrócić. Ani przyszłości.

Herling zbudował ją sobie dzięki literaturze. Był w zespole skupionym wokół Jerzego Giedroycia, który założył w 1946 roku Instytut Literacki, a w rok później wydał pierwszy numer miesięcznika „Kultura”. Pisał. Publikował. Jego pierwsza wielka książka – *Inny świat*, pomnik wzniesiony współtowarzyszom niewoli – ukazała się po polsku w Londynie w 1953 roku, w dwa lata po przekładzie angielskim, za którym poszło około dziesięciu innych. Z tych butelek rzuconych w morze kilka

dotarło do właściwych odbiorców. Nie dość wszakże, by przełamać samotność i izolację – nieodłączne od losu pisarza, który na obczyźnie pozostaje wierny językowi ojczystemu – pogłębiane dziś już niemal niewyobrażalnym klimatem podejrzliwości i nienawiści, jaki w ciągu pierwszych trzech powojennych dziesięcioleci komunisci i ich sprzymierzeńcy wytwarzali wokół uchodźców z porzuconej na pastwę Stalina Europy, zwłaszcza zaś – wokół byłych więźniów obozów sowieckich. Wygnani z własnych krajów przez polityczny kataklizm, byli oni nosicielami wiedzy wyklętej. Toteż obłożono ich, niczym trędowatych, zakazem kontaktów. I zakazem publikacji: *Inny świat* nie znalazł wtedy francuskiego wydawcy. A skoro nie można było odesłać ich z powrotem do obozów, spychano ich na margines.

We Włoszech, gdzie czerń koszul ustąpiła jako barwa czasu czerwieni sztandaru z sierpem i młotem, Herling dusił się w poczuciu, że jego głos nie zdoła przebić się przez triumfujące kłamstwo. Kilka wypróbowanych przyjacieli, włoskie wydanie *Innego świata* i książki o pisarzach sowieckich (*Od Gorkiego do Pasternaka*) niewiele mogły tu pomóc. Zmiany zapoczątkowane opublikowaniem w 1956 roku tajnego raportu Chruszczowa przebiegały rozpaczliwie wolno. A zgubne wytwory rozkładu kultury komunistycznej zatruwały atmosferę i siały śmierć. Nawet gdyby Herling nie był od dawna wielbicielem Dostojewskiego, wyczyny Czerwonych Brygad skłoniłyby go niechybnie do ponownej lektury *Biesów*.

Ale Włochy dostarczają mu również innych widoków: chłopów z Południa, intelektualistów masowo nawróconych z faszyzmu na komunizm, niezłomnych antyfaszystów, niezdolnych po powrocie z emigracji wewnętrznej lub z zagranicy przystosować się do nowej rzeczywistości, katolicyzmu jako wiary wiejskich proboszczów i ich owieczek oraz jako alibi ambitnych i wykrętnych polityków. Wszystko to fascynuje Herlinga i w pewnej mierze przypomina mu kraj rodzinny, który prześwituje między wierszami jego kronik włoskich, zwłaszcza tam, gdzie mowa o Neapolu położonym, jak Polska, „między Cudem a Wulkanem”. Do zamieszkania we Włoszech skłoniły Herlinga względy czysto osobiste. Ale był on od razu bardzo wrażliwy na te zbieżności.

Wracając do Neapolu, Herling oddalił się od swego naturalnego środowiska: od polskiej emigracji politycznej skupionej w Londynie, Paryżu i Monachium. Paryż zwłaszcza stanowi środek jego osobistej mapy Europy, ze względu na prawie dwusetletnią polską tradycję kulturalną i na obecność znacznej liczby Polaków. Ale nade wszystko z powodu bliskości Maisons-Laffitte, gdzie znajduje się jego wydawca, Instytut Literacki Jerzego Giedroycia, w którym działają przyjaciele

z wojska – pierwsi czytelnicy i pierwsi krytycy. Instytut – to także „Kultura”. Więzy Herlinga z tym pismem, którego pierwszy numer współsygnował, zacieśniają się po 1957 roku; od 1966 jest jego włoskim korespondentem, a tym samym – członkiem niewielkiego zespołu redakcyjnego. Sam jednak spędza w Maisons-Laffitte tylko jeden miesiąc w kwartale. Resztę czasu – w Neapolu. To tak, jakby krążył regularnie między Polską a Włochami.

Dzięki swym pisarzom – w tym kilku największym w literaturze polskiej naszych czasów – dzięki swym malarzom, publicystom i uczonym „Kultura” jest bowiem czymś znacznie więcej niż miesięcznikiem. Jest, by użyć słów Konstantego Jeleńskiego, który sam był jej wybitnym współtwórcą, „Polską na wygnaniu”¹¹⁴. I Polską z Polski. Wszystkie przeszkody i wszystkie trudności, nienawistna propaganda reżymu i wysiłki służby bezpieczeństwa, by utrzymać każdego w przeświadczeniu, że wie o nim wszystko, nie zdołały nigdy oderwać tej Polski od tamtej. W ciągu dziesięcioleci „Kultura” była miejscem spotkań. Spotkań dzieł i spotkań ludzi. Albowiem goście przyjeżdżali zawsze, raz częściej, kiedy indziej bardzo rzadko, zależnie od kaprysów paszportowych władzy i wahań natężenia strachu. Od połowy lat siedemdziesiątych stali się nawet bardzo liczni. Znajdowali, niekiedy z odcieniem zawodu, miast oszałamiającego gmachu skromny, podmiejski dom. W nim zaś atmosferę wytężonej pracy i staropolską gościnność, poważne dyskusje nad aktualnymi problemami i wymianę nowin, poglądów, dowcipów. Zakazane są tam tylko trzy rzeczy: nuda, bogoojczyźniane i martyrologiczne rozdieranie szat oraz przywiązanie do przeszłości, które przeszkadza myśleć o jutrze.

Dzieła Herlinga nie da się oddzielić ani od „Kultury”, ani od Neapolu. Od Neapolu, bo dostarcza tematów i przenośni. Od „Kultury”, bo dzięki niej Herling może być pisarzem polskim, mówiącym do polskiej publiczności o sprawach, które jej dotyczą. Dwie tematyki, włoska i polska, były początkowo traktowane odrębnie, jak opowieści fabularne były odrębne od dokumentalnych, fikcje – od faktów. *Skrzydła ołtarza* (1960), pierwszy polski tom Herlinga po *Innym świecie*, zawiera dwie nowele włoskie. Ale następna książka, *Drugie Przyjście* (1963), przynosi już w zarysie rozwiązanie problemu. Znalazły się w niej pospół wspomnienia z młodości, opowiadania, eseje o pisarzach tak odmiennych, jak Samuel Pepys, Conrad, Kafka, Babel, uwagi o totalitaryzmie Eichmanna i o totalitaryzmie Berii.

¹¹⁴ Por. C. Jeleński, „Kultura”, *la Pologne en exil*, „Le Débat” 1981, nr 9, s. 59–71; wersja polska: K. Jeleński, *O „Kulturze” dla Francuzów*, w: idem, *Zbiegi okoliczności*, Paryż 1982, s. 153–170.

Inny zbiór, *Upiory rewolucji* (1969), zgromadził studia nad literaturą sowiecką, także dysydencką.

Dopiero na początku lat siedemdziesiątych Herling ostatecznie wypracował formułę, która pozwala połączyć w jednym dziele fikcję i rzeczywistość, sztukę, literaturę i politykę, przeszłość i wydarzenia bieżące. Formułę dziennika, ale nader szczególnego rodzaju: bez wglądu w życie intymne autora, który zataja swe sprawy osobiste i swe solilokwia. Dziennika bez narcyzmu. Herling sprowadza w nim siebie nieledwie do spojrzania, które, niczym wiązka światła, wychodzi z oka. I uwidacznia rzeczy. Jak pochodnia Caravaggia w *Siedmiu dziełach Miłosierdzia*. Albo świeca La Toura w jednej z jego Magdalen. Jak latarnia Goi w *3 maja 1808*. Nie iżby Herling był w swym dzienniku nieobecny. Nie zdołałby, nawet gdyby chciał. Cokolwiek czynimy, by pozostać w ukryciu – oświetlając, oświetlamy samych siebie.

Są przeżycia, które zamykają w milczeniu. Nie dlatego, że odbierają głos. Lecz dlatego, że dojmująco, jak ból, każą odczuć nieuleczalną nędzę mowy. Jej przy mierze z banalnością rzeczy. Jej niemoc, gdy ma wiernie oddać nieszczęścia wojny, Oświęcim czy Kołymę, trzęsienie ziemi, wybuch wulkanu. Wszystko, co przydarza się ludziom, choćby za sprawą ludzi, ale co przekracza ludzką miarę. I pozostawia wybór tylko między krzykiem a milczeniem. Gdy przeżycie takie poraża przyszłego pisarza, objawia mu na zawsze marność literatury dobrze ułożonej. Warte napisania będą odtąd w jego oczach jedynie dzieła skrajne: z pobliza słowotoku bądź z pobliza ciszy, zależnie od usposobienia. I które nie są tylko zabawą. Jak dzieła Dostojewskiego. Albo Kafki.

Herling skąpi słów i ścisza je do granic możliwości, by wydobyć z nich pełnię sensu. Nigdy nie podnosi głosu. Unika retorycznych uniesień. Od oburzenia woli sarkazm, od krzyku – niemy gest wskazujący. Jego ulubiony gest i, jak uważa, nieodparty dowód, silniejszy niż wszelkie rozumowanie. Herling publicysta i polemista stosuje te same środki, co Herling pisarz: uzasadnia wskazaniem. Gdy mówią mu, że księdza Popiełuszkę zamordowano bez wiedzy generała Jaruzelskiego, odpowiada relacją o zamordowaniu Giacomo Matteottiego na rozkaz Duce.

Niektórzy skłonni są zarzucać mu pewną oschłość. Rzeczywiście, unika wy lewnej uczuciowości, rozluźniania dyscypliny wewnętrznej. Nie obnaża stanów swej duszy; nie zgłębia jaźni swych postaci. Ich życie intymne, milczący stosunek, jaki każda z nich nawiązuje z sobą samą, opisuje o tyle tylko, o ile wyraża się ono w gestach i w słowach. O ile daje się uchwycić z zewnątrz. Jako miłośnik i znawca malarstwa, które przedkłada nad literaturę, Herling pragnie ją do niego przybliżyć

stylem. Pragnie uobecnić spojrzeniu to, co dla niego w rzeczywistości nieosiągalne. Pragnie uzyskać, oszczędzając słów, jak najwięcej mocy plastycznej.

Ze Stendhalem łączy Herlinga nie tylko upodobania stylistyczne. Także rodzaj wyobraźni. By ją uruchomić, potrzebuje nieodzownie starych kronik, gazet, podróży i spotkań. Jego nowele i eseje krystalizują się wokół kilku zasłyszanych zdań, przypomnienia czyjegoś losu lub jakiegoś zdarzenia, ujrzanego obrazu. Herling nie jest jednak człowiekiem Oświecenia, choćby późnego. Nie zadowala go ukazywanie gry pragnień i ambicji. W napotkanej postaci pociąga go i ciekawi ciemność, jaką ona w sobie niesie, otoczka cienia, która ją spowija i której ani psychologia, ani socjologia, ani żadna inna nauka, ani nawet literatura nie potrafią rozproszyć. W obrazach, jakie ukazuje oczom czytelnika, obszary światła i ostrych zarysów zanurzają się zazwyczaj w czerń, w coś, czego nikt nie zdoła wypowiedzieć, bo nikt nie zdoła tego zobaczyć. Świat widzialny odcina się tam od niewidzialnego, choć nie sposób go odeń oderwać. Przy czym pierwszy zależy od drugiego, gdyż tam właśnie, poza naszym zasięgiem, tkwi ostateczne wyjaśnienie wszystkiego, co się dokonuje. Herling jest w istocie rzeczą pisarzem metafizycznym.

Skrzydła ołtarza jest dwoje: opowieść o śmierci, opowieść o zmartwychwstaniu. Pierwsza wprowadza na scenę śmierć ofiarną i śmierć samolubną, śmierć przyjętą i śmierć odrzuconą, dobrą śmierć, która wyzwala cierpiącego, i śmierć złą, źródło nowych cierpień dla innych. Druga ukazuje wznoszenie się ofiary zbrodni ku miłości i równoczesne osuwanie się zbrodniarza w osamotnienie, samobójczy skok w otchłań. Ale zbrodniarz sam jest ofiarą: kapłanem załamany pod ciężarem swego stanu, którego nie ma siły udźwignąć. Ofiarą jest również odludek, który nie chce umrzeć, by uratować bliźniego – też kapłana – i powoduje jego śmierć za parafię: gdy był nauczycielem w Messynie, stracił wszystkich bliskich w trzęsieniu ziemi w 1908 roku. Zazębiające się o siebie podwojenia, odniesienia i symetrie, podobieństwa i odwrócenia, budują między dwoma opowiadaniem zależności, które czynią z nich rzeczywiście dwa skrzydła tego samego ołtarza, przecięte w różnych miejscach granicą między dobrem a złem.

Niestrudzony czytelnik, Herling odczuwa powinowactwo z pisarzami, którzy, jak Dostojewski, Kafka czy Camus, przemierzali przed nim te same rejony; ich dzieła i biografie dostarczały mu wielokrotnie podniety. Herling, miłośnik malarstwa, zdaje się szczególnie wrażliwy na obrazy Caravaggia i malarzy mu podobnych: prześwity w mrokach, przedstawienia okrucieństwa i litości, cierpienia i ekstazy. Temat malarski zaś, który go fascynuje: Sąd Ostateczny – łączy w sobie śmierć i zmartwychwstanie,

ciemność i światło, rozdzielenie dobrych od złych, upadek i wniebowzięcie. Herling, emigrant polityczny, przygląda się bacznie granicy między dwoma blokami, a jeszcze uważniej – ruchomej granicy, która wewnątrz każdego z nich przebiega między wrogimi sobie siłami demokracji i komunizmu. Zaangażowany po stronie pierwszych, uważa za niemożliwe ich trwałe porozumienie z drugimi, chyba żeby komunizm zmienił swą naturę, czego nie wyklucza, choć niezbyt w to wierzy. Jego wzrok tylko z rzadka odrywa się od linii, która odcina dobro od zła. Ale nawet wtedy jest ona obecna na horyzoncie.

Tradycja teologiczna określa zło, wytwór człowieka, jako przygodne, częściowe i przemijające. Toteż może zwolnić Boga z odpowiedzialności za nie, podziwiać bez zastrzeżeń całość stworzenia i czekać Drugiego Przyjścia, a po nim – powrotu raju utraconego. Nie inaczej traktowały zło nowoczesne ideologie, które widziały w nim pozostałość czasów minionych i obiecywały wykarczowanie go po osiągnięciu, w przyszłości, zbiorowej potęgi i jednostkowego dobrobytu. Herling należy do tych pisarzy, dla których zło to nie problem, lecz skandal. Wytwór człowieka, niechybnie, lecz również przyrody – trzęsącej się ziemi, wybuchających wulkanów, napastujących chorób – zło doświadcza wszystkie istoty żywe zdolne cierpieć. Jest czymś więcej niż częściowym upośledzeniem istnienia – zniszczeniem, rozbiciem, okaleczeniem go jako całości. Stałą obecnością w czasie, przystrojona w rozmaite maski i przebrania, ale której natężenie nie słabnie. Siłą, która powoduje trwałe skutki. Dla Herlinga zło nie jest ani brakiem, ani reliktem. Jest czymś rzeczywistym.

Zgoda, powie ktoś, ale ta rzeczywistość ma z pewnością jakiś sens. Wystarczy nie ujmować zła samego w sobie, wystarczy odnieść je do najwyższego dobra, a okaże się ono tylko jego narzędziem. Tak postępują teologowie. Ideologowie zaś relatywizują zło, sprowadzając je do roli środka w służbie przyszłego szczęścia. Herling przeciwstawia się i jednym, i drugim. Próby usprawiedliwienia zła, nadania mu sensu, znalezienia dla niego racji są z jego strony przedmiotem polemiki zarazem artystycznej i filozoficznej. Czytelna na kartach *Dziennika*, uderza ona zwłaszcza w tych intelektualistów, którzy podporządkowali ideologii postępu swe sumienia i osąd krytyczny i zaprzeczali istnieniu zła w Związku Sowieckim – owszem, usiłowali, od Gorkiego po Sartre'a, przedstawić je jako zbawienne dla przyszłej ludzkości, stając się przeto współlnikami zbrodni.

Polemika ta jest też obecna w tle wielu opowiadań. Przykładem *Ugolone z Todi*, bezlitosne wspomnienie pośmiertne o filozofie, dziecięciu wieku, który bezwiednie, jak się zdaje, poświęcił całe swe dzieło usprawiedliwianiu zła, opierając się kolejno na

faszystowskim heglizmie Gentilego, na marksizmie w wydaniu stalinowskim i rewizjonistycznym, na buddyzmie i na katolicyzmie, początkowo racjonalnym, później mistycznym – i którego zabija tajemnicza choroba. Podobnie w *Gruzach*, opowieści o Tora Alta, wiosce, którą trzęsienie ziemi unicestwiło nie tylko jako byt materialny, lecz również jako wspólnotę ludzką, i o ucieczce w śmierć jednego z ocalonych, niezdolnego pogodzić się ze stratą prawie wszystkich bliskich i żyć z obecnym już zawsze wspomnieniem końca świata. Odmiennie w tonacji – ironicznej w pierwszym, tragicznej w drugim – opowiadania te łączy obraz zła jako bezzasadnego i urągającego wszelkim usprawiedliwieniom. Zła jako faktu, który trzeba przyjąć jako fakt właśnie, w całym jego okrucieństwie, z całym jego ładunkiem cierpienia.

Ale zło nie zaślepia Herlinga. Opowieść o Tora Alta kończy się opisem złobka skleconego na Boże Narodzenie z gruzów, tekturowego pudełka i lalki naguska. Złobka przyrównanego przez Herlinga do promienia słońca, który przez zakryte okno wpada do celi więziennej. Podziemne siły, ciemne i niszczycielskie, i światło słoneczne, które przywraca życie, upadek i podniesienie – jak zawsze u Herlinga, jesteśmy na pograniczu. Choć uznaje on realność zła i odczuwa je jako skandal, nie przekreśla bynajmniej solidarności ludzkiej, litości, współczucia, miłości, nadziei i wiary w obecność dobra w świecie. Przeciwnie, utwierdza je. Gdyż ze swego pobytu w Innym Świecie wyniósł przekonanie, które głosi wedle niego Księga Hioba: jedynym sposobem uratowania godności ludzkiej w nieludzkich warunkach jest wierzyć, choćby z otchłani zła, w istnienie dobra.

Toteż Herling uwypatnia potworne skutki nihilizmu z jego relatywizacją dobra utożsamionego wyłącznie z tym, co przybliży zwycięstwo Sprawy. Nieczajew i terroryści, leninizm i inne apologie celu, który uświęca środki, są wielokrotnie atakowani w *Dzienniku*. Jak również ci, którzy utrzymują, jakoby stali poza dobrem i złem, i świadczą przeto, że uważają granicę między nimi za złudną i możliwą do zatarcia. W pierwszym rządzie Nietzsche, którego szaleństwo wybuchło, wedle Herlinga, gdy uwierzył, że zadał śmiertelny cios chrześcijaństwu i wraz z nim – radykalnemu podziałowi na to, co dozwolone, lub wręcz przykazane, i na to, co objęte zakazem. Gdy w swym ostatnim przesłaniu uroił się sobie jako Antychryst, niszczyciel samych pojęć grzechu i Sądu Ostatecznego. Sądu Ostatecznego, którego najpełniejszą wizję malarską zniszczył w 1998 roku inny mieszkaniec Bazylei, narrator *Pożaru w Kaplicy Sykstyńskiej*; miast symbolicznego młota, narzędzia przewartościowania wszystkich wartości, użyje on wszelako najnowszego gadżetu: kieszonkowego miotacza płomieni – by następnie popaść w otępienie wzorem poprzednika z 1889 roku.

Jak gdyby, według Herlinga, nie można było obalić granicy między dobrem a złem, a zarazem zachować w całości tego, co mamy w sobie swoiście ludzkiego. Jak gdyby nie można było naprawdę uznać, że wszystko jest dozwolone, i nie oszaleć.

Wrażliwość Herlinga jest manichejska i taka jest też ukryta metafizyka jego dzieła. Manicheizm nie jest jednak kultem zła. Zakłada istnienie dwóch ostro oddzielonych zasad, których zderzenie wypełnia historię świata: dobra i zła, światła i ciemności. Wartości i antywartości, by użyć bardziej nowoczesnego języka, jednakowo rzeczywistych i absolutnych, niezależnych od poglądu, jaki ludzie o nich powezmą, i od warunków, w jakich się znajdują. Tymi dwoma skrzydłami ołtarza są miłość i cierpienie. Obydwa należą do *sacrum*, ale każde w innym z dwóch przeciwstawnych znaczeń tego słowa, które odsyła zarazem do zgrozy i do szacunku, do zakazu i do przykazania. Zniesienie granicy między nimi – to zepchnięcie świata w chaos, a przedtem jeszcze – wtrącenie weń samego siebie. To zwycięstwo cierpienia, które rzekomo pragnęło się usunąć. Albowiem pozwala je powstrzymać tylko bezwzględny zakaz zadawania go komukolwiek, kto nie przystał na to z pełną świadomością tego, co czyni. Ostatecznie, na swój sposób dyskretny i powściągliwy, bez kaznodziejstwa i wielkich słów, Herling broni tej myśli prostej, acz wcale nie oczywistej: nawet jeśli Boga nie ma, nie wszystko jest dozwolone.

*przełożyła Ewa Wende
(przekład przejrzany i poprawiony przez autora)*